

Hubert T. Mikołajczyk

Akademia Pomorska

Słupsk

O POLSKICH DROGACH FILOZOFII W SKALI MIKRO

Mówienie o filozofii, jej minionej (z reguły starannie rozpoznanej), współczesnej i przyszłej kondycji (w dalszym ciągu ewaluowanej) jest zadaniem równie trudnym, co konsekwentne na jej temat milczenie. Stąd też, o ile „branie na warsztat” przeszłości filozofii, w całej gamie poruszanych przez nią zagadnień, oprócz waloru opisowego ma także sens normatywny, o tyle pytaniem w tym kontekście równie istotnym pozostaje kwestia, w jaki sposób, w jakim zakresie i w jakich granicach pisanie o niej dzisiaj zachowuje swą nie tylko merytoryczną, ale przede wszystkim dydaktyczną wartość. Właśnie ona jest, w mym przeświadczeniu, o tyle ważna, o ile kiedyś postawione przez Feliksa Jarońskiego pytanie „**Jakiej filozofii Polacy potrzebują**”¹ (z długiej praktyki nauczycielskiej wiem, że nieczęsto zadawane studentom) stanowi o tym, co aktualnie przez filozofię i jej dydaktykę rozumiemy. Przy tym nie chodzi wyłącznie o to, aby raz jeszcze dopisywać następne stronicie do już istniejących tomów historii filozofii; żeby po raz kolejny rozstrzygać jej naczelną dylematy, aby zajmować stanowisko w wybranych sporach, czy też w końcu podawać któreś z rzędu interpretacje, zdawać się może, dobrze rozpoznanych problemów. Cel podstawowy, jaki autor sobie wyznacza, jest bez wątpienia znacznie skromniejszy. Dotyczy on bowiem polskiego, z wolna wychodzącego z kulturowego cienia podwórka, które po niemal dwupokoleniowej, zamierzonej separacji (mam na myśli ideologizację systemu kształcenia) od głównych trendów intelektualnych i kulturowych Europy, stara się włączyć w szeroki nurt tendencji rozwojowych

¹ *Jakiej filozofii Polacy potrzebują*, wyboru dokonał i wstępem opatrzył W. Tatarkiewicz, Warszawa 1970, s. 3-43.

Zachodu. Ale w tej właśnie kwestii rodzą się moje największe wątpliwości. Pomijając więc stopień przygotowania do realizacji tego typu działań, które obligowane parafowaniem stosownych uregulowań ostatecznie muszą zostać sfinalizowane, zawsze aktualne pozostanie pytanie o specyfikę polskiej filozofii. Jaki jest jej stan obecny, a jaki być powinien (to pytanie jest chyba ważniejsze)? Czy aktualnie jest on zadowalający, czy może wymaga mniejszej lub większej korekty? Wszystko to są kwestie, które zamykam, parafrazując nieco tytuł książki zredagowanej przez Władysława Tatarkiewicza², w pytaniu: **Czy takiej filozofii, jaka dzisiaj jest, Polacy rzeczywiście potrzebują?** Odmienność tego pytania od postawionego dość dawno temu przez Feliksa Jarońskiego jest zapewne prowokująca. Ale właśnie taka być musi. Czy nie jest faktem oczywistym, że nie wszyscy Polacy filozofii potrzebują? I jeśli nawet by jej potrzebowali, to nie wskutek swej woli jej nie otrzymują. A jeśli rzeczywiście by jej potrzebowali, to dlaczego jej nie dostają? A skoro nie potrzebują i w dodatku jej nie dostają, to z jakiego powodu tak właśnie się dzieje? Pytań tego rodzaju z pewnością jest wiele. I odpowiedzi zapewne nie ma.

Pytam wobec tego niezmiennie, z czego wynika stan, w którym nie istnieje potrzeba szerszego zainteresowania filozofią. Trudno przypuszczać, aby był on stanem przypadkowym i niezamierzonym. Wszystko wskazuje na to, że jako stan długotrwały jest stanem świadomie podtrzymywanym. I będzie on zapewne taki do czasu, do jakiego pożytki płynące z filozofii (o których w różnych okresach jakże dużo przecież mówiono) nie będą w porę dostrzeżone i docenione. I nie trzeba, jak sądzę, po raz kolejny przekonywać, że humanista niekoniecznie w szczegółach fizyki obznajomiony być musi, ale fizyk humanistą w jakimś stopniu już być powinien. Nade wszystko wynika to z ogólnokulturowej roli, której filozofii trudno wszelako odmówić; roli, o której wiedzieć nie będziemy nic, jeśli dostęp do niej będzie niemożliwy. Niemożliwy zaś będzie tak długo, jak długo wiele dyskutowane i odłożone na półkę projekty edukacji filozoficznej nie zostaną zrealizowane. Dotyczy to zarówno edukacji na poziomie szkoły średniej, jak i niestety na poziomie akademickim o różnym profilu nauczania. Nienaturalność (w sensie ogólnokulturowym) tego stanu potwierdza wciąż malejąca liczba godzin przeznaczonych na nauczanie filozofii. I jeśli gdzieś zdarza się, iż w końcu jakoś się ona ustabilizowała, to najczęściej na zenująco niskim poziomie – oczywiście pomijamy

² Tamże.

ośrodki naukowe, w których jest ona przedmiotem kierunkowym. Ale przecież nie tylko tam być powinna, chociaż tam – chciałoby się powiedzieć: na szczęście – jest mocno utrwalona.

W tym sensie problemem ważkim pozostaje ilość (co nie jest bez znaczenia) i jakość polskiego szkolnictwa filozoficznego. Uzupełnijmy uprzednią tezę stwierdzeniem, iż **taka będzie filozofia, jakie jej nauczanie**. Koncentrując zarówno wokół jednej, jak i drugiej tezy swoich rozważań, zobaczymy, co następuje. Otóż, jeśli założymy, choć być może jest to teza niestosownie śmiała, iż czasy genialnych samouków bezpowrotnie minęły, to należy przyjąć, że najlepiej przygotowaną instytucją, możliwie szeroko zapoznającą z ogólną problematyką filozoficzną nadal pozostaje ośrodek akademicki. Dlatego pytanie o jego kształt jest choćby tylko pośrednio, ale zawsze pytaniem o profil filozofii, pytaniem w następnej kolejności o to, co z szeroko pojętą akademickością w sposób prosty się wiąże i co z niej naprawdę wynika. W konsekwencji jest pytaniem o sens i istotę kształcenia kadr naukowo-dydaktycznych, ich naukowej promocji, dróg i stopni awansu zawodowego. Tym sprawom również przyjrzymy się bliżej.

Sięgając do źródłosłowa *universitas* jako zinstytucjonalizowanej wspólnoty wiedzy, przechodzimy do *universalitas*³, kategoriałnie wyznaczającej ważność pojęć i norm, kształtujących klimat intelektualny średniowiecznej Europy, zjednoczonej oddziaływaniem kultury łacińskiej. Proces zaniku jedności owej kultury (nie wnikamy tu w szczegóły zagadnienia), znaczoney głównie rozpadem imperiów i powstaniem w ich miejscu państw narodowych, a co za tym idzie powszechnym stosowaniem języków narodowych, wpłynął także na zmianę charakteru i funkcji pełnionych przez uniwersytety. Wyzwolone spod jurysdykcji kościelnej, przeszły pod zarząd biurokracji państwowej, stając się ważnym instrumentem kształtującym politykę naukową i kulturalną państw. Tak było w przypadku założonych jeszcze przez Napoleona najważniejszych szkół francuskich, będących *notabene* do dziś kuźniami kadr administracji państwowej. Tak też było z uniwersytetami angielskimi i uniwersytetem von Humboldta w Niemczech, nie bez przyczyny okrzykniętym „uniwersyte-tem państwowym”. I właśnie państwowy charakter uniwersytetu, w jego humboldtowskiej formie, odciskającej się do dziś również na polskim szkolnictwie wyższym, nie zawsze z pożytecznym skutkiem (będę starał się to wykazać), w dobie powszechnej globalizacji jako zjawiska kultu-

³ Zob. M.J. Siemek, *Wolność, rozum, intersubiektywność*, Warszawa 2002, s. 342.

rowego i społecznego staje się czymś zupełnie nieprzystającym do wyzwań czasów przyszłych.

Chodzi wszak o to, czym zajmują się głównie socjologowie, ekonomiści i politolodzy, iż socjalna i opiekuńcza rola państwa stopniowo, acz konsekwentnie ulega zakwestionowaniu. Wraz z tym rozpadowi ulegają również klasyczne (w nowożytności), zwiastujące marsz rozumu ku świetlanej przyszłości, instytucje stojące na jego straży. Znaczy to, iż precyzyjnie odnotowana przez Urlicha Becka w pracy *Czym jest globalizacja* zmiana paradygmatyczna, polegająca w największym skrócie na przejściu od tego, co narodowe, do tego, co globalne (ponadnarodowe), musi w najbliższej perspektywie wyznaczać przyszłość uniwersytetu, a w dalszej kolejności również przyszłość filozofii, bo gdzieś lepiej niż w murach szacownego uniwersytetu będzie się jej wiodło. Ale to, że licząca sobie prawie dwa stulecia tradycja uniwersytetu Humboldta wiązała wiedzę z władzą, dając tym samym gwarancję ciągłości kulturowej państwa, ale także trwałą dominację jego organów, widoczną chociażby w znacznej liczbie przeróżnych komisji kontrolujących, o których interesująco pisał Herbert Schnädelbach⁴, pozwalało w równym stopniu karać i nadzorować. Dostrzeżona przez Michela Foucaulta zwrotność tej relacji była modelowym wręcz przykładem państwa jako projektu politycznego i kulturowego zarazem. Można więc pytać i będzie to w pełni uzasadnione, jak długo jeszcze model ten może być skutecznie podtrzymywany. Podobnie zresztą można rozważać, jak długo utrwalone w nim schematy nauczania (pamiętać trzeba, że tzw. zajęcia konwersatoryjne, obowiązujące dziś jeszcze w szkolnictwie wyższym, wprowadzone zostały przez Johanna Gottlieba Fichtego w czasach jego profesury w Jenie w końcu XVIII wieku) zachowają swą ważność. I nie piszę tego w tonie złośliwości, bowiem nie wszystko, co tradycyjne, o czym szczególnie propagatorzy myślenia hermeneutycznego wyjątkowo dobrze wiedzą, musi być bezużyteczne. Chodzi tu bowiem o problem natury ogólniejszej; problem, którego sedno sprowadza się do zaniku potencji organizmu państwowego, a wraz z tym zaniku pewnego projektu kulturowo-politycznego, lokującego uniwersytet w samym centrum interesów państwowych. Jest to trend, o którym – zdawać się może – w Polsce niekiedy zapominało, wprowadzając uprzednio bezkrytycznie tezy ustawy o szkolnictwie wyższym (choć ostatni projekt go uwzględniła), utrudniające bądź niekie-

⁴ Zob. H. Schnädelbach, *Filozofia w Niemczech 1831-1933*, tłum. K. Krzemieniowa, Warszawa 1992.

dy wprost uniemożliwiające włączenie się w ogólnoswiatowy system nauczania (w tym również filozofii). Dlatego, integrując się jedynie pozornie ze standardami narzuconymi przez Unię Europejską, ujednolicona ona wyłącznie kwestie najmniej istotne, natomiast ważne, w tym bardzo ważne, zupełnie pomijając. Studenci nie mają możliwości słuchania „na żywo” wykładów największych nawet autorytetów, uznanych profesorów, w tym noblistów, bowiem okazuje się, iż światowej sławy profesor przyjeżdżający z zagranicy w Polsce profesorem już nie jest (wymóg habilitacji w większości krajów europejskich i USA nie obowiązuje, a w przypadku tzw. profesora wizytującego jest konieczny – kuriozum). Toteż, jeśli tak ma wyglądać przyszłość uniwersytetu, chociaż powiadam, dotyczy to całej sfery nauki i szkolnictwa wyższego, to albo integracja z Unią Europejską jest pozorna, deklaratywna i nie bardzo chciana, albo – co się z tym bezpośrednio wiąże – zapewnienia o gotowości do globalizacji są puste, jałowe i pozbawione podstaw. O tym, że są to sprawy dla środowiska naukowego naprawdę istotne, przekonuje szerokie forum dyskusyjne, obejmujące zarówno wypowiedzi na łamach poczytnych czasopism, jak na przykład było z tekstem Marcina Miłkowskiego *Same pieniądze nie pomogą uczelniom*⁵, jak i w internetowym czasopiśmie „Diametros”, skąd pochodzi tekst Ireneusza Ziemiańskiego *O przyszłości filozofii (nie tylko) analitycznej*, do którego jeszcze nawiążę.

O ile więc stosunkowo łatwiej jest przeprowadzać zmiany administracyjne po stronie władzy (te rzeczywiście z dobrym skutkiem w ciągu kilkudziesięciu lat się dokonały), to jakkolwiek transformacja po drugiej stronie rzeczonyj relacji, tj. po stronie wiedzy, przychodzi już znacznie trudniej. Nie oznacza to jednak, że globalizacja jest lekiem na całe zło, tak samo jak nie oznacza, że państwo jako instytucja narodowa musi zginąć. Jedno i drugie z pewnością może istnieć obok siebie. Dobrze jednak byłoby, aby równowaga między władzą a wiedzą była równowagą zharmonizowaną. W istocie, pojmuję to jako konieczną proporcjonalność w reformowaniu władzy (państwo ponowoczesne podatne na procesy globalizacji) i idącej w jej ślad reformy wiedzy. I jeśli dotychczasowa weryfikacja władzy w powszechnej świadomości uznana została za przedsięwzięcie pozytywne, o tyle wlekąca się w ogonie przemian reforma wiedzy (np. zmiany ustawowe dotyczące nauki i szkolnictwa wyższego) w opinii środowiska (oczywiście niecałego) nie rokuje sukcesu. Świadomość tego stanu sprawia, że już w niedługim czasie po ustawowych

⁵ Zob. portal internetowy (www.gazeta.pl. ostatnia aktualizacja 24-11-2005).

zmianach, co prawda jeszcze niepewnie, ale już coraz śmieiej, mówi się o konieczności modyfikacji, poprawek – słowem ulepszeń, co do treści których nie ma jeszcze ostatecznej pewności. Tworzy się tedy zespoły, a to do przyspieszenia drogi awansu zawodowego pracowników nauki, a to do przyspieszenia realizacji postanowień poszczególnych konwencji międzynarodowych. W moim przekonaniu są to jednak zabiegi nieśmiałe, bardziej chyba uspokajające rozchwiane sumienia decydentów, świadomych niezupełnego charakteru swego produktu, niż autentyczne kroki w celu spełnienia wymogów UE. W efekcie wszystko to sprawia, iż mamy do czynienia z sytuacją, w której oświeceniowa zgodność w ł a d z y i w i e d z y, o której pisał Allan Bloom w pracy *Umysł zamknięty*, została zachwiana. Tyle tylko, że oznacza to, iż jeśli w dającej się przewidzieć przyszłości owa zgodność kompleksowo nie zostanie uregulowana, to doprawdy trudno oczekiwać, aby uniwersytet był motorem zmian „bez pomocy rewolucji”. Choćby dlatego musi on odnaleźć swą nową pozycję w ponowoczesnej kulturze globalizacji, być może porównywalną z rolą wyznaczoną mu onegdaj przez Humboldta. Całkiem poważnie warto tedy zastanowić się nad problemami przedstawionymi w błyskotliwym szkicu Marka Kwieka *Narodziny uniwersytetu z ducha nowoczesności* i raz jeszcze zapytać, „jak ma dzisiaj funkcjonować wiedza, skoro nie daje legitymizacji władzy budującej tożsamość narodową”⁶.

Wzbogaćmy zatem nasze dotychczasowe tezy konkluzją wieńczącą rozważania na sygnalizowany w tytule temat. Mówiąc, iż **taka będzie filozofia, jaki nadamy jej kształt**, należałoby ustosunkować się do kwestii, jaka ma być filozofia bez roszczeń do bycia filozofią analityczną. Tym problemem pragnę wpisać swój głos w toczoną jakiś czas temu na łamach „Diametrosa” dyskusję o zaletach i wadach filozofii analitycznej (nie tylko w praktyce dydaktycznej, choć ta jawi się jako szczególnie ważna w przededniu, miejmy nadzieję, wprowadzenia do szkół średnich zajęć z filozofii), bowiem jej rozstrzygnięcie w efekcie będzie świadczyć o tym, jakiej filozofii rzeczywiście potrzebujemy (w formie instytucjonalnej i dydaktycznej) w dobie europejskiej globalizacji. Bezsprzecznie, trudno ustosunkować się do wszystkich wypowiedzianych w tej dyskusji tez. Stąd pragnę jedynie odnieść się do wąskiego jej fragmentu, po to tylko, aby nawiązując do wypowiedzi Ireneusza Ziemiańskiego, odpowiedzieć na pytanie: **jakiej filozofii dziś potrzebujemy?** Z tym tylko, czego

⁶ M. Kwiek, *Narodziny uniwersytetu z ducha nowoczesności*, „Principia” t. XXXVII-XXXVIII, Kraków 2004, s. 59.

przecież nie ukrywam, iż potrzeba ta jest również moją potrzebą. Dlatego proponuję, aby współczesną praktykę badań filozoficznych (tych na stopień naukowy, ale nie tylko) zawrzeć między dwoma biegunami. Jeden to biegun rzetelnej, metodologicznie poprawnej, do pozytywnego końca spełnionej „roboty”, drugi zaś, rzecz można, frywolna, eseistyczna, choć przecież niepozbawiona walorów naukowości, twórczość filozoficzna. Oczywiście, przykładów potwierdzających słusność obu tych tendencji w historii filozofii znaleźć można wiele. Sprawą o wiele istotniejszą, niż szukanie ich paralelności bądź dominacji którejkolwiek z nich, pozostaje jednak kwestia słusności raz obranej drogi. Tu właśnie niezupełnie można by zgodzić się z Ziemiańskim. Nie jest bowiem poprawne, aby z zespolowości badań, wąskiej specjalizacji, charakterystycznej, jak powiada, dla scjentyistycznego paradygmatu, czynić zarzut na tyle poważny, aby w konsekwencji prognozować upadek opartej na nim filozofii, przyrównując go do zwyrodnienia charakterystycznego dla średniowiecznej scholastyki. Kolektywność pracy nie jest, jak sądzę, żadnym złem. Mało tego, trudno zwłaszcza dziś wyobrazić sobie, aby ktoś profesjonalnie (za pieniądze – o grozo) myślący i zajmujący się filozofią mógł rezygnować z oczekiwań i klimatu intelektualnego obecnego w danym środowisku. Jak się bowiem zdaje, przypadki niepokodzonego ze światem myśliciela nieodwracalnie odchodzą już w przeszłość. I nie chodzi tu wyłącznie o kontestację natury merytorycznej. Ta zawsze i wszędzie jest pożądana, ale o wyalienowanego z grupy społecznej indywidualistę (w filozofii antycznej, choć nie tylko, ich nie brakowało), którego zachowanie, chociaż społecznie nieakceptowane, ma w sobie coś wartościowego – chociażby to, iż reprezentuje przykład myśliciela, którego filozofia nie tylko jest **wiedzą**, ale głównie **postawą**. Doprawdy to niezwykle cenna (warta rozważenia) i nieczęsto dziś niestety prezentowana zaleta.

Mimo iż niejednokrotnie najchętniej pozostalibyśmy głusi na postulaty filozoficznego antyku, aczkolwiek wielokrotnie upominano się o ich przywrócenie, to nie tylko wspomniane cechy filozofii analitycznej budzić mogą największy niepokój. O wiele groźniejsze – i tu z Ziemiańskim całkowicie zgodzić się należy – jest to, iż z warsztatu filozoficznego czyni się nadrzędny i jedyny cel pracy filozoficznej, gubiący najczęściej indywidualną, osobowościowo zaangażowaną pasję poznawczą. Groźba ta jest tym większa, im bardziej przedkłada się doraźność kariery akademickiej, mającej najwyraźniej podkreślać warsztatowe umiejętności badacza (jest to motyw dość ważny, ale nie najważniejszy), nad konieczność żywiołowego poszukiwania prawdy. Jest ono zaletą, której nie jest w stanie

zastąpić ani zespołowość badań, ani też daleko idąca doskonałość warsztatu metodologicznego (w sensie scjentystycznym). I jeśli tylko chcielibyśmy sięgnąć do historii, to znajdziemy tam argumenty przemawiające w równym bodaj stopniu za indywidualnością, co żywiołowością badań filozoficznych. Bo czy dziś, wzorując się na formie pisarskiej Kierkegarda, Nietzschego, Sartre'a, Lévinasa i wielu innych filozofów, którzy zapewnili sobie stałe miejsce na kartach historii filozofii i w programach nauczania, moglibyśmy osiągnąć sukces akademicki? Wątpliwe. Ale nie byli to przysłówiowi rzemieślnicy, poprawnie wykonujący powierzoną im pracę, tylko prawdziwi mistrzowie, którzy występując przeciw wymogom cechu rzemieślniczego, na wykonanych przez siebie dziełach odciskali niezatarte piętno swej osobowości. Oczywiście, nie znaczy to, że rzemiosło niesie deprecjację filozofii. Oznacza co najwyżej, że odtwórczość, czasami nawet pożądana, sama w sobie nie może rościć pretensji do całkowitej dominacji. Nie może tym samym być tak, że jeśli nowatorskim pracom wytykamy braki warsztatowe, to automatycznie pozbawiamy je należnej im wartości naukowej. Niekiedy zdarza się, że więcej satysfakcji przynosi obcowanie z warsztatowo niedoskonałą, ale żywiołową ideą, niż z perfekcyjnie opracowaną treścią, niemającą wiele wspólnego z prawdziwą oryginalnością. Niewykluczone, że **takiej właśnie filozofii dziś potrzebujemy**.

The Polish ways of philosophy on a microscale

With this article, I would like to start to discuss about the condition of Polish philosophy. It's attendance in social, cultural and intellectual life, seems to be quite essential. Necessity of it's development cannot be covered even by some difficulties related to the existence of philosophy as a teaching subjects on various levels. Another important question is, what form should Polish philosophy take on academic level. The issue of promoting high school teachers, that is related to the case I have mentioned above, should be a background to the whole discussion.